



## CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinnie.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½ na Szpital Dziecinnie.— Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecinnie. — Za granicą Rsr. 6.— Adres Redakey: Ulica Marszałkowska Nr. 77.

Treść.—Noc Świętojańska z drzeworytem, (dokończenie), przez M—a.—Jęk matki, (wiersz) przez Janinę Feliksę.— Kukulka (z drzeworytem), przez M. J. Z.—Powrót z miasta, (z drzeworytem), przez Jaskółkę.— Na letniem mieszkaniu przez Władysława Nowickiego, (ciąg dalszy).—Obrazki geograficzne, przez M. J. Z., (ciąg dalszy).—Rozmaitości.—Łami-główki.—Rozwiązania.—Odpowiedzi.—Ogłoszenie.

### NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

(Dokończenie).

Góralka puściła ją natychmiast i pobiegła po chleb i mleko, zdziwiona jakoś, że nie wie-dzieć czemu posłuszną być musi małemu dziecku. A przecież posłuszną być musiała potędze paprociowego kwiatu, która jest szczęścia potęgą. Tymczasem dziewczynka rzuciła okiem naokoło, myśląc czemuby się góralce odwdzięczyć, i ujrzała niedaleko znów owe pieniądze, których łatwo dostać mogła z pod zwalonego muru, a pod pieniędzmi, inne bogactwa w tymże samym prostym garn-ku glinianym. Zjadła więc chleb i mleko przyniesione i rzekła do góralki:

— Posłuchaj mię, nie mów nikomu żeś mię widziała, ale jak tylko słońce wej-dzie, pobiegnij tam gdzie stoją te trzy jodły; w środkowej jest dziupla, co znajdziesz w tej dziupli, to weź jako podarek odemnie; dzie-kuję tobie.

I odbiegła Szafrancówna od zdziwionej dziewczyny i wpośród zwalisk, trafiła z łatwo-



Zamek królewski w Krakowie.

ścią do małego skarbu ukrytego tuż pod powierzchnią ziemi, a odrzuciwszy gałązką piaszczystą ziemię i podniósłszy pokrywę garnka, brała już złote pieniądze, aby je zanieść do jodły. A wtém przyszło jej na myśl, czy też bardzo ucieszy się ze skarbu góralka? Pomyślawszy tak, natychmiast mocą kwiatu paprociowego spojrziała dziewczynka w przyszłość i ujrzała najprzód wielką radość dziewczyny. Ale zaraz zobaczyła zazdrość sąsiadów, a potem w dalszej jeszcze przyszłości ujrzała niewyraźnie, że bardzo wielu ludzi chce się żenić z tą góralką, a ona nie chce żadnego, czekając aż się odezwie jeden bardzo biedny, który się właśnie ani ośmielał myśleć o małżeństwie z dziewczyną bogaczką wielką. A tymczasem inny, rozgniewany o to, że go dziewczyna nie chciała, poszedł do miasta i powiedział przed władzą, że ona ma z rozbójnikami znajomości i od nich skarb dostała. Potém przyszli zbrojni ludzie i wzięli góralkę do więzienia. Szafrancówna aż zapłakała, ujrawszy jakie następstwo wynikło ze skarbu, którym szczęśliwą i bez niego góralkę chciała obdarzyć; rzuciła pieniądze otrząsając rączki, bo zdawało jej się, że chyba złem musi być dotykanie skarbów takich, kiedy one nieszczęście przynoszą. Lecz zasnuwała się, że góralkę obietnicy nie dotrzyma; więc dla przekonania sięgnęła dziewczynka pod złote pieniądze i pomyślała co będzie, gdy da góralkę przepyszny pierścień, który tam znalazła? I ujrzała, że góralka ucieszy się z pierścienia i nosić go będzie długo, aż zgubi bez żalu, bo nie będzie znała wielkiej jego wartości, za którąby można wieś kupić. Przekonała się więc Szafrancówna, że nie koniecznie już użytek z takich skarbów ma przynieść nieszczęście i jeszcze raz sięgnęła głębiej jeszcze, szukając czego, coby miłszem mogło być dziewczynie góralskiej od drogiego pierścienia. Jakoż wyjęła już tylko bicz koralu. W skarbie nic więcej nie było, ale ten bicz składał się z kilkudziesięciu sznurów koralu takich wielkich i pięknych, o jakich świat nie słyszał. Więc spojrziała znów w przyszłość dziewczynka, lecz zaledwo spojrzawszy, rozśmiała się serdecznie i starannie ukrywszy napowrót skarb cały, same tylko korale zaniosła do jodły i poszła w dalszą

drogę do brata. Idąc śmiała się jeszcze, bo z oddali widziała przecież mocą paproci, co działo się na polanie koło sobótki, gdy góralka korale w dziupli znalazła, nie mogąc wcale utaić swojej z dzieckiem rozmowy, bo sam wójt przy jadł gospodarzający i inni góralkę widzieli dziecko zdaleka. Najprzód znalazłszy taką moc koralu, że się niemi cała jak szerokim pasem okręcić mogła, dziewczyna wiejska o mało rozumu nie straciła z radości. A potem, gdy korale obejrzano i oceniono, że trzy chłopskie gospodarstwa można za nie kupić, stała się wielka ogólna radość na polanie. Osądzono jednogłośnie, że nikt inny, chyba tylko sama Św. Salomea, halicka królowa, siostra króla Bolesława V, a córka Leszka Białego, która przed kilkudziesięcią laty po świątobliwem życiu w pustelni swojej w pobliżu umarła, mogła być, jako królowa, posiadać takie przepyszne korale. I ona to chyba sama, która za życia była jakby dobroczynnym duchem całej okolicy, teraz obdarzyła przez jakiegoś dobrego ducha dziecięcego owym koralowym skarbem najcnotliwszą, ale i najbiedniejszą z dziewcząt okolicznych. Wszyscy cieszyli się i pysznili tą dziewczyną, a dziewczyna aż rozplakała się z radości, dziękując Bogu i Św. Salomei i dobremu małemu duchowi, że skończyła się bieda jej a szczęście zaczęło. I w istocie była ta dziewczyna całe życie poważana i szczęśliwa. Widząc to wszystko, śmiała się mała Szafrancówna z radości, a trochę też i z przesądnych góralki. Bo że góralka Bogu dziękowała za korale, to miała słusność, gdyż bez woli boskiej byłaby ich Szafrancówna jej dać nie mogła; że dziękowała i Św. Salomei, to bardzo proste, bo królowa Salomea, pustelnica w tych górach, tak bardzo lubiła opiekować się cnotliwymi dziewczętami za życia, że naturalnie i po jej śmierci mogły dziewczęta każdą radość swoją na jej wstawiennictwo składać. Ale że ją samę, Szafrancównę małą, wzięto za jakiegoś dobrego ducha, to jest niby aniołka, to się dziewczynce takim śmiesznem zdawało, że się aż w głos śmiała, idąc przez puszcę. A wtém usłyszała płacz serdeczny i ujrzała maleńkiego jak ona sama pastuszek, który płacząc biegł tam i sam po lesie z kijkiem w ręku, nawołując, jak się na

bydło woła i widocznie czegoś szukając.

— Słuchaj! ty! dziecko małeńkie! powiedz mi czego płaczesz?— spytała dziewczynka, stając i biorąc się lewą rączką w bok z wielką powagą, bo jak zwykle małe dziewczynki, miała wszystkie inne dzieci za niezmiernie małeńkie, a chłopców szczególniej poważnie traktowała, bo ją do tego przyuczono. W owe czasy przyzwyczajano bowiem nawet małych chłopców i małe dziewczątka, ażeby się z sobą obchodzili wzajemnie tak poważnie i grzecznie, jakby dorosłymi ludźmi byli. Więc dziewczynka mówiła tak do pastuszka, jakby pani poważna do dziecka, a z tą powagą swoją wydała mu się istotnie jakąś nadzwyczajną istotą, czy strasznie wielką panią, bo usta z podziwu roztworzywszy, stał dzieciak przez chwilę zdumiony z wytrzeszczonemi na nią oczyma, zanim nareszcie zdejmując czapkę odpowiedział:

— Krowina mi się zapodziała jeszcze wczoraj, juże my teraz przepadniemy od głodu z matusią, oj!— i rozplakał się znowu.

— Jaka była ta krowka twoja?— pytała znowu dziewczynka.

— A przecież czarna z białą strzałką na łbie!— odrzekł chłopczyzna zdziwiony, że może być ktoś i to jeszcze taka cudna pani, któraby takiej ważnej rzeczy jak jego krowa nie znała.

— To idźże prosto ot tędy, najprzód będzie krzyż na rostaju, później dolina, a dalej figura i zdrój; przy tej figurze, z tego zdroju teraz krowka twoja wodę pije— rzekła Szafrancówna.

Pastuszek krzyknął z radości i popędził co siły we wskazanym kierunku. Krowkę, jedyny majątek ubogiej wdowy, znalazł i dopiero ochłonawszy ze zmartwienia i z radości, zastanowił się nad cudownością całego zdarzenia i opowiedział je wszystkim, bo dobrze widział, że cudna pani wcale z przeciwnej strony przyszła od tego miejsca, w którym mu krowki szukać kazała. Dziewczynka szła dalej, aż spotkała kobietę zbierającą gałęzie i spojrzawszy na nią, krzyknęła:

— Kobioto! biegnijcie do chaty, bo tam małe dziecko wasze zbudziło się, wypełzło z chaty i do strugi za domem idzie; śpieszcie się, bo utonie.

Kobieta cisnęła gałęzie, pobiegła jak ptak nieledwie i znalazła dziecko już w strudze do połowy, ale uratowała je jeszcze. Szafrancówna szła dalej. Przechodząc przez małą dolinę, ujrzała w niej kilkoro ludzi, a ci łamali ręce i płakali na dymiących jeszcze zgliszczach domu, który spłonął im wraz z całym dobytkiem, gdy oni zapruszywszy ogień przypadkiem, całą noc przy dalekiej przepędzili sobótce. Zamyśliła się dziewczynka, jakby tych ludzi poratować, przymierzając różne sposoby do przyszłych, widnych jej losów, bo ją nauczyło roztropności owe widzenie ze złotemi pieniędzmi i z góralką. Mogła była i teraz tych ludzi wielkim skarbem obdarzyć, ale widziała, że doszedłszy do bogactw, ojciec tej rodziny stałby się skąpym, a rodzina jego, widząc że on ma pieniądze, a nikomu ich nie daje, miałyby żal do niego i wszyscy przestaliby się kochać i byłiby nieszczęśliwi. Więc wzięła dziewczynka za rączkę córeczkę tego człowieka, płaczącą samotnie na skraju lasu i pociągając ją ku sobie uśmiechem, zaprowadziła o parę staj i powiedziała:

— Tu pod tym dębem, w tém miejscu, gdzie tę gałązkę zatykam, są zakopane pieniądze; powiedz ojcu, żeby za nie kupił nowy dobytek i zbudował nową chatę.

I poszła w swoją drogę Szafrancówna, wiedząc dobrze, co dalej będzie. Jakoż ów gospodarz znalazł pod dębem nie żaden wielki skarb złoty, któryby oczy na niego zwrócił i nauczył go cheiwości, lecz tylko sporo miedzianych pieniędzy, zapewne także przez jakiegoś chłopca kiedyś zakopanych. Wybudował dom, kupił dobytek i żył szczęśliwie, opowiadając o cudowném zdarzeniu.

Tak ocierając łzy a siejąc szczęście po drodze, zaszła nareszcie dziewczeczka nad brzeg jaru, gdzie na bujnej murawie spał Zaprzaniec, a koń jego wierny paś się obok niego swobodnie. Usiadła przy braciszku i czekała patrząc na niego.

— A to co? co ty za dziwne jesteś dziecko?— spytał rycerz, przebudziwszy się.

— Dla czego mam być dziwna? powiedz, rycerzu, dla czego? bo wszyscy ludzie patrzą się na mnie jak na dziw, a ja nie wiem dla czego?— pytała dziewczynka.

— Dla tego, że promieniejesz szczęściem,

jakbyś aniołkiem, a nie człowiekiem była. Zkąd się tu wzięłaś i czém naprawdę jesteś? Czy istotnie jakim dobrym duchem? czy może kwiat paproci znalazłaś téj nocy, dziewczynko?—pytał rycerz.

— Tak, znalazłam prawdziwe szczęście i tém szczęściem promienieję; znalazłam żal za złe popełnione w sercach dwóch braci i przebaczenie za złe doznane w sercu trzeciego mego brata—odpowiedziała dziewczynka i upadła do nóg najstarszemu braciszкови i opowiedziała mu, jak wyszła z zamku; ale nie wspomniała o paproci, wiedząc dobrze, iż gdyby komukolwiek wspomniała o tém, kwiat zgasłby natychmiast. Rycerz wziął ją na ręce tuląc i płakał i mówił:

— A więc ty jedna poznałaś mię sercem i wyszłaś w świat w noc ciemną za płaczącym bratem, aby go pocieszyć i przekonać, że nie cała go się zaparła rodzina? Dobrze, teraz już my dwoje nie rozstaniemy się w tém życiu

— Wracajmy więc do Pieskowej skały, bo bracia wysłali już na wszystkie strony ludzi, aby szukali nas oboje—radziła dziewczynka, ale brat odpowiedział:

— Nie; żalu nie mam do nich, ale rzekłem iżem Zaprzaniec, więc muszę zostać Zaprzaniec, bom rycerz-krzyżowiec, słowo moje święte jest.

— Ale cóż robić będziemy, jak żyć, kiedy ziemia nasza jest koło Pieskowej skały?—pytała malenka.

— Pojedziemy do króla, opowiemy prawdę, a król pozwoli krzyżowcowi bronić wspólnej całej ziemi naszej i osadzi nas na straży w jakim zamku na granicy—odpowiedział brat; siadł na koń, posadził dziecko przed sobą i pojechali do króla. Jadąc myślała dziewczynka, czyby nie wskazać bratu którego z zakopanych skarbów, coby jój łatwo było? I zstawiła w myśli, jak miała zwyczaj, przyszłość braterską z wielkim skarbem, aby się dowiedzieć, czy mu przyniesie szczęście. Spojrzała w przyszłość i krzyknęła z przerażenia. Ujrzała brata ginącego pod szablami jakichś dziwnych ludzi w zawojach na głowach.

— Bracie, cobyś ty zrobił, gdybyś miał bardzo dużo pieniędzy?—spytała zdziwionego jój krzykiem i wzruszeniem.

— Wystawiłbym natychmiast ogromne wojsko, potężnie uzbrojone, na dzielnych koniach, nakupiłbym okrętów i zdobyłbym Jerozolimę—odpowiedział.

Dziewczynka pokiwała tylko główką i przyrzekła sobie, że nigdy brata skarbem nie udaruje, bo zrozumiała że ludzie w zawojach, których widziała w przyszłości, byli Turkami. Przyjechawszy do Krakowa, brat i mała siostrzyczka zastali tam już dwóch braci i uściskali się z nimi odrazu, bo oni powiedzieli, że odwrócona maczuga pradziadowa otworzyła im oczy na błąd popełniony. Oni chcieli teraz, żeby krzyżowiec i mała siostrzyczka wracali z nimi do Pieskowej skały i brali ojcowiznę swoją, a rycerz nie chciał, nie z gniewu, ale dla słowa swego. Sprawa wytoczyła się przed króla, a król rzekł:

— Pogodzę ja was. Oto trzeba wam wiedzieć, że cała ojcowizna wasza do was należy, oprócz właśnie jednego zamku na Pieskowej skale. Zamek jest moją królewską własnością, którą jeden z królów, poprzedników moich, nadał na czas dziadom waszym. Więc ja teraz odbieram tę własność korony Szafrancom, a daję ją Zaprzaniecowi; ale nie daję jój na czas, tylko nadaję i darowuję zupełnie na własność.

Tak król powiedział, a ze słów jego ucieszyli się wszyscy i wszyscy powrócili do Pieskowej skały, bo krzyżowiec siostrzyczkę zatrzymywał przy sobie, a innych braci z całego serca na mieszkanie do zamku swego zaprosił. Siostra chciała z początku wskazać dwom braciom pozbawionym zamku jaki skarb, aby sobie zań mogli własne zamki wybudować, ale spojrzawszy w przyszłość, ujrzała, że jeden miał w duszy chciwość taką, że im więcejby miał, tém więcejby pragnął, aż w końcu z wielkiej chciwości ludziby krzywdzić zaczął. A drugi znów dostawszy wielkie pieniądze, zacząłby je tak marnotrawić, że w końcu i ojcowiznęby zmarnował, wprawiwszy się w marnotrawstwo i z gniewu na siebie popadłby w chorobę. Wiedząc o tém, nie wynagradzała im siostra straty zamku, aby w nich złych skłonności nie budzić, które groźba dziadowa odwróceniem owej skamieniałej maczugi już raz stłumiła. Pozostało więc wszystko jak było, bo Bóg wie

zawsze co robi, i wiedział téż co robił, gdy Szafrancównie pozwolił zerwać kwiat paproci. Ona umiała być szczęśliwą i szczęścia swego na uszczęśliwienie ludzi używać. Nigdy w życiu nie tknęła ani odrobiny żadnego skarbu dla siebie, ale i skarbów tych zakopanych, i skarbów wiedzy i mądrości, jakie kwiat paprociowy jej nadał, umiała tak używać, że najsmutniejszy, gdy ujrzał ją, odchodził uszczęśliwiony lub pocieszony przynajmniej od jej oblicza. Aż nareszcie ludzie, widząc ją zawsze promieniejącą szczęściem i rozsiewającą szczęście w około, zaczęli się domyslać, że ona musiała znaleźć cudowny kwiat paproci. Wszystkie niewiasty starały się naśladować jej czyny i córeczkom swoim ją wskazywały, jako wzór wszystkich cnót niewieścich, które ona widocznie posiadać musiała, kiedy dano jej było znaleźć prawdziwe zadowolenie wewnętrzne, któremu na imię jest: kwiat paproci. *M...a.*

## JĘK MATKI.

Jak w cieplarni roślina,  
Śpi w kolebce dziecina,  
Swych rodziców jedyna pociecha;  
Drobne rączki złożyła,  
Twarz jej bladość okryła,  
Choć przez sen się rozkosznie uśmiecha.

A tuż nad nią schylona,  
W twarz dziecięcia wpatrzona,  
Stoi matka w zadumie tonąca,  
A po licu jej bladym,  
Nieścieranym już śladem,  
Płynie cicha łza wielka, gorąca.

Czemu płacze niewiasta?  
Czemu smutek jej wzrasta,  
Gdy chce schwycić swe dziecię w objęcia?  
Czemu nagle przykłęka,  
I jak struna, gdy pękła,  
Jękiem rozbrzmi, nie tyka dziecięcia?

A dziecina uśpiona,  
Łzą swjej matki zroszona,  
Miły jakiś sen dzisiaj ma pewnie;  
Bo wyciąga rączkę,  
A jej buzia przymknięta  
Wciąż uśmiecha się smutnie i rzewnie.

Widzi we śnie i słyszy,  
Wśród spokojnej gdzieś ciszy,  
Śpiew aniołów zebranych tam w górze,  
A przy sobie jednego  
Też aniołka ślicznego,  
Z wzrokiem w niebios utkwionym lazurze.

Aż wtém anioł się schyla  
I dziecinie przymila,  
Swą łagodną anielską pieszczotą:  
— Chodź tam ze mną do nieba,  
Ciebie tutaj nie trzeba,  
Bo świat cały zasiany zgryzotą.

Szkoda ciebie dla ziemi!  
Tam z gwiazdkami złotemi,  
Wśród przestrzeni zawiesznieś bez końca;  
O, chodź ze mną, dziecino!  
Tam spokojniej dni płyną,  
Tam nie braknie ni ciepła ni słońca.

O! czy widzisz w oddali?  
Tam się ludzie zebrali  
I zbijają trumienkę dla ciebie;  
Porzuć ziemię, o dziecie,  
Bo szczęśliwsze cię przecie  
Czeka życie wysoko tam w niebie.—

Dziecię chętnie słów słucha,  
Które anioł do ucha  
Woiąż szepce, chcąc je zabrać zawczasie;  
Lecz wtém nagle jęk głośny,  
Jak dźwięk dzwonu donośny,  
Gdzieś w oddali się ozwie boleśnie.

Więc się dziecię zbudziło,  
Matki serce zabiło,  
I porwała dziecię w ramiona,  
I znów łzą ją skropiła,  
Lecz radośnie tuliła  
Swoje szczęście jedyne do łona.

*Janina Feliksa.*

## KUKUŁKA.

Wszak pamiętacie, młodzi czytelnicy, podania ludowe o kukułce, niedawno w piśmie naszym zamieszczone? Ale niezawodnie słyszeliście także inną wieść o téj ptaszynie, na którą nawet musieliście się nieraz oburzać, nieprawdaz? Gdy wszystkie ptaszki tak starannie i dowcipnie urządzą gniazdeczka, gdy z taką czułością pisklęta swoje pielęgnują, jedna tylko kukułka nie zadaje sobie wcale téj pracy, ale podstępnie wsuwa jajko

w gniazdko innej ptaszyny, zazwyczaj znacznie mniejszej od siebie i już sobie z niemi potem żadnego kłopotu nie zadaje. Opatrzność jednak czuwa nad opuszczoną sierotą; naturalisci utrzymują, że nigdy żaden ptaszek nie wyrzuca z gniazda tego obcego jajka kukułki, ale je zawsze wysiaduje razem ze swojemi i potem najtroskliwiej żywi wyłęgłe pisklą, chociaż młoda kukułka krzywdzi najczęściej przybrane swoje rodzeństwo, gdyż jest niezmiernie żarłoczna.

Rysunek nasz przedstawia właśnie taką kukułkę, wyłęgłą w cudzym gniazdku. Patrzcie, jak dziwnie wygląda to duże pisklą, większe od przybranej swej mateczki, makołagwy, która przynosi w dziobku żywność dla całej gromadki. Łatwo jednak przewidzieć, że nie wiele z tego zostanie dla dzieci rodzonych, bo ta przybłąda zapewne pochwyta dla siebie co tylko będzie mogła. To też zazwyczaj te niebożęta nie mogą się wszystkie wychować w takim towarzystwie.

A teraz spróbujemy powiedzieć słów kilka w obronie kukułki, bo nikogo bez sądu potępiać nie należy. Otóż trzeba wam wiedzieć, że kukułka nie znosi nigdy swych jajek raz po raz, tak jak inne ptaszki, ale w znacznych odstępach czasu, w ciągu ośmiu tygodni; dla tego też wysiadywać ich sama nie może i musi je na mamki oddawać. Zawsze jednak, jak widzicie, ma pewne uczucia macierzyńskie, bo nie rzuca jajka, ale je ostrożnie bierze w dziob i póty nie wypuszcza, aż znajdzie dla niego wygodne i bezpieczne schronienie, wybierając gniazdko ptaszków owadożernych, żeby młoda kukułeczka miała stosowne pożywienie. To tylko jest bardzo niepocziwie z jej strony, że składając swoje jajko, chwytą zawsze i pożera jedno z tych, które w gniazdku zastaje.

Kukułki przylatują do nas z południa, należą do ptaków pożytecznych, bo żywią się szczególnie liszkami kosmatymi, które są bardzo szkodliwe dla roślinności, a których inne ptaki nie jedzą. Jeśli zechcemy upatrzeć w kukułce jakies cechy wyróżniające ją od innych ptaków, spostrzeżemy, że ma palce u łapek rozłożone w sposób odrębny, dwa skierowane na przód, a dwa na tył. Wszystkie ptaki, mające podobną budowę

nóg, zręcznie łązą po drzewach, a ztąd noszą nazwę ptaków łązących. *M. J. Z.*

## POWRÓT Z MIASTA.

— Matulu, matulu—wołał żałośnie mały Wojtuś, biegnąc za Jakóbową, wracającą z miasta, gdzie jaja i kurczęta sprzedawała na targu.

— A cóż, czy już zdążyć za mną nie możesz?—zapytała matka.

— A juści. Żeby to ja miał takiego konia na biegunach, jak ten mały panicz, co my u niego byli, to by ja dopiero prędko jechał, ażbym matulę przegonił. Ach, matulu, jak to dobrze mieszkać w mieście i być bogatym!

— A ino—potakiwała Jagusia, moszcząca się coraz to wygodniej na rękę matki. — Jakie to tam pokoje u tych państwa, a jakie śliczności w tych pokojach, a jakie zwierciadła na ścianie, to ino stać i przeglądać się w nich, aż dopóki nocka nie zapadnie.

— A nie maszże ty lepszego zwierciadła w Trzmielincach?..

— A gdzie?

— A zaraz za sadem, za naszym. Takie wielkie, jakiego chyba żaden pan nie ma, a takie mocne, że się nigdy nie stłucze... Ja się przez wszystkie młode lata w niemi przeglądałam i warkocze kaliną stroiłam, a nie zapra gnęłam innego.

— Co mi tam zwierciadło!—zawołał Wojtuś—ale ten koń na biegunach!

— Kiej wyrośniesz, mój synaczk, będziesz miał żywego i będziesz harcował na nim po łące i po lesie i będziesz zdrow jak ryba w wodzie. A panicz, co teraz się buja na tym wypchanym żrebaku, to może i nie dosiądzie nigdy żywego. A jakie to blade, jakie to mizeractwo! Boże, zlituj się! Albo i panienska...

— Ale matulu—przerwała Jagusia—jakie oni śliczne suknie mają, a jakie wstążeczki, a jakie paciorki!... Ta sukienka, co mi pani dali, to ani się umywa do tych, w których panienska chodzi!

— Ja i tę ci zdejmę, jak wrócimy do dom, bom ci ją tylko włożyła, żeby pani nie było markotno. A na wsi wszyscyby się dziwowali, żeś się tak inaczej ustroiła i nie umiała-bys się nawet w tym stroju obrócić.

— Ej, matulu, zostawcie mi tę sukienkę— rzekła Jagusia, obejmując matkę za szyję takim nagłym ruchem, że o mało jej chustki nie zrzuciła z głowy.

— Cóż ty i mnie chcesz przeinaczyć i chustkę mi już ściągasz?—zapytała, śmiejąc się wieśniaczka.—O, co z tego, to nic nie będzie. Ja i sama tak będę chodziła do śmierci, jak chodzę, i was nie przebiore.

— I matulaby nie chcieli mieszkać w mieście?—zapytał Wojtuś.

— Za nic w świecie! tam ani wody, ani nieba nie dojrzy, ino mury i mury! I powietrza za grosz niema, aż człowiek się dusi. A milszeć sto razy niebo i powietrze i woda, jak te wszystkie miejskie śliczności. Niema to jak nasza chałupa, i nasze pólko, i nasza lipa przed chatą, i nasza ławka przed lipą. Tam zdrowie, tam swoboda, tam szczęście!

— Matula tak mówią, jak ksiądz proboszcz w tamtą niedzielę, w naszej szkółce. Czytał nam z jakiejś książki coś bardzo ładnego i takutenko potem rozbierał i tłómaczył. Ale ja wszystkiego nie spamiętałem, tylko te wyrazy: „Ten pan, zdaniem mojem, kto przestał na swoim.“

— A widzisz, Wojtuś, że matula dobrze mówili, kiedy, nieprzymierzając, tak jak ksiądz proboszcz. Ale nauka widać poszła w las, kić ci się zachciało wypchanego zrebaka, a Jagusi dużego zwierciadła—choć ty przecie masz żywe konie, a Jagusia ma zaraz za sadem jeszcze większe i piękniejsze zwierciadło. Więc jak to ksiądz proboszcz powiedział, jak?

— Ten pan, zdaniem mojem, kto przestał na swoim.

— Ach, to złote wyrazy i złote są usta, co je powiedziały. Pamiętajcież je sobie dobrze i przypominajcie, ilekroć wam się zapragnie wypchanego konika, albo dużego zwierciadła, albo czegośkolwiek takiego, czego niema w naszych kochanych Trzmielincach.

*Jaskółka.*

## NA LETNIEM MIESZKANIU.

OPOWIEDZIAŁ

Władysław Nowicki.

(*Ciąg dalszy.*)

### II. Wyjazd z Warszawy, cegielnia, pola.

Dzieci, wstawać! rozległ się donośny głos ojca i zrobił silne na dzieciach wrażenie; w mgnieniu oka dzieci już nie spały: Adaś się nie krzywił, Julcia nie tarła oczu, a Zosia zapomniała o tém, że ją zawsze z rana głowa boleć zwykła. Nigdy na pensyą dziewczynki tak się nie śpieszyły, jak dzisiaj w drogę; Zosia nigdy nie była tak czułą opiekunką młodziej siostrzyczki, ani tak poważną mentorką małego braciszka, jak dzisiaj. Niezwykłe ożywienie zapanowało w całym domu a najniezwyklesze w serduszkach naszych małych podróżnych. Adaś wprawdzie wczoraj grymasił trochę, bo prosił mamę o torbę podróżną z paskiem lakierowanym przez plecy, czego rozumie się nie otrzymał. Dzisiaj zapomniał o torbie.

Na śniadanie dzieci jadły bardzo mało, chociaż rodzice przepowiadali im, że w drodze może im głód dokuczyć, gdyż będą musiały poprzestać na skromnym posiłku w czasie popasu, a pod wieczór dopiero staną na miejscu. Nie przestraszyły się jednak bardzo tego, albowiem widziały, że mama nakładła do koszyka różnych przekąsek, podobnie jak to miało miejsce przeszłego roku przy wycieczce pociągiem spacerowym do Jabłonny. Mama pogniwała się na Adasia, bo ciągle stał w oknie, wyglądając, czy bryka już zaszła i i mało szyby nie wybił. Poszedł biedny w ką z płaczem, ale wnet się rozweselił, bo usłyszał głosy sióstr; wsiadać! wsiadać! i on też uśmiechnął się przez łzy i biegł przez pokój, mówiąc płaczącym głosem: wsiadać, wsiadać!

Wkrótce też wszyscy umieścili się w obszernej bryce i woźnica zaciął konie. Zdawało się dzieciom, że on bardzo wolno jedzie, niezadługo jednak była już bryka na odludnej ulicy; zamiast wystaw sklepowych ciągnęły się parkany, z ponad których wy-

chylały się drzewa owocowe, ustrojone tu i owdzie pęczkami czerwonych, rubinowych wiśni. Minęli wreszcie rogatki, Adaś pytał się, czy to już wieś, tymczasem to wcale jeszcze wieś nie była, bo za rogatkami stały precz rzędem domki murowane ze sklepami,

taj glinę wybrano i na cegłę wyrobiono. Takie doły, wypełnione zwykle wodą deszczową, nazywają się glinianki. Dzieci nie powinny nigdy chodzić około glinianek, bo w nich najłatwiej utonąć. Bardzo często się zdarza, że kto nieuważny, nie znający miejscowości,



### K u k u ł k a.

a dalej znowu parkany i sady i ogrody.

Potem dzieci ze zdziwieniem zobaczyły jakieś doły, kałuże, nagą ziemię gliniastą, a dalej jakieś szopy, komin sterczący; nie wiedzieli czy to wieś, czy to miasto. Była to cegielnia. Te doły powstały dlatego, że tu-

idąc wieczorem wpadnie w taką gliniankę i utonie.

— Patrz, Julciu—mówiła mama—jak ci robotnicy, (nazywają się oni strycharze) ustawiają cegłę na ziemi.

— Ale proszę mamy, to nie może być ce-



gła, bo przecież cegła jest czerwonego koloru, a tamte równoległościany są szare.

— Roześmieli się rodzice, a ojciec zapytał:

wał pan X., który raz na tydzień udziela nam lekcyj o rzeczach.

— To pewnie i to wiesz od niego, że ce-



Powrót z miasta.

Zkąd wiesz, że to są równoległościany?

— A jakże mam, proszę taty, nie wiedzieć, kiedy nam równoległościany pokazy-

gła musi być czerwona.

— O ja i bez niego bym to wiedziała, bo przecież tyle cegły można zobaczyć na ulicy

a jak ją wiozą, to się z niej piasek sypie czerwony, a jak dom budują, to i dom z początku jest czerwony.

— To dobrze, moja Julciu, kiedy tak jesteś uważna, ale cegła zanim będzie czerwona, musi być wprzód szara, to jest taka jak glina, bo cegła przecież jest z gliny.

— A to teraz rozumiem! Ja też nie mogłam pojąć, jak to z szarej gliny może być czerwona cegła.

— Jeszcze nie rozumiesz, ja nie skończyłam a ty przerywasz. Patrzno, tamci ludzie przerabiają glinę z wodą; ci strycharze na tamtym stole ją wtlaczają w forenki, jakby pudełka od cygar bez dna i przykrycia i tak powstaje cegła; ale to dopiero surówka. Najprzód potrzebuje ona wyschnąć i dlatego ją stawiają pojedynczo na ziemi, jak widzisz; potem układają ją w tamtym piecu i wypalają. Cegła w ogniu dopiero nabiera koloru czerwonego. Widziałś raki, one są koloru brunatnego, po ugotowaniu jednak skorupa ich nabiera charakterystycznego, czerwonego koloru, który nazywamy rakowym. Dla tego to, gdy się kto zarumieni, mówią, że raka spiekł. Najczęściej dziewczynki raczki pieką. — Inne dzieci słuchały z uwagą, co ojciec mówił, a Zosia opowiadała później młodszemu rodzeństwu, że glina nie tylko służy na cegłę. Z gliny wyrabiają się garnki i różne naczynia; Adaś powiedział, że zaraz będzie na wsi wyrabiał garnki z gliny.

— Nie potrafisz, nie potrafisz — mówiła Zosia.

— Nie święci garnki lepią — powiedziała Julcia.

— Nie święci garnki lepią — powtórzył Adaś.

Z gliny robią się kafle do pieców. Piękna, czysta glina, nazywa się fajansem i z niego mamy wiele naczyń biało polewanych, jak półmiski, talerze, spodki, kubki. Najlepszy gatunek gliny służy za materiał do wyrabiania naczyń porcelanowych, które są bez porównania od fajansowych droższe.

Ani się dzieci spostrzegły, jak ujechały spory kawałek drogi. Woznica zatrzymał

konie, a było to na wzgórzu. Spojrzeli wszyscy ku Warszawie i widzieli ją z daleka, lecz już nie ulice, sklepy i ludzi, a tylko dachy, kopuły i wieże sterczące. Można było poznać niektóre kościoły po wieżach, ale co domów to po dachach niktby nie poznał. Nie żał było dzieciom opuszczać Warszawę, bo wiedziały, że niezadługo do niej powrócą. A tu tymczasem miały urok nowości przed sobą i pragnęły co najprędzej rozgościć się w nowym, wiejskim mieszkaniu.

Ale wszystkie te myśli pierzchnęły wkrótce, dzieci jakby całe zamieniły się w oczy i tylko patrzyły jak odurzone na coraz nowe obszary pola i widoki, które zmieniały się jak w panoramie. Wszystko sunęło się bokami i niknęło za bryczką. W dali widniały rozmaite kolory zboża, jarzyn, pól, łąk, zarosli. Kolory stopniowały się od ciemno-zielonego do coraz jaśniejszego, do białego, były i jaskrawe kolory. Tam łąty kartofli, pokrywały dużą przestrzeń pola, nadając jej kolor mocno-zielony; również zielony, ale jaśniejszy już nieco kolor miała, obok rosnąca, koniczyna; rozwijające się na niej różowe główki kwiatów, pięknie się odbijały na tle zielonem, przykrywając je jakby przejrzystą gazą różową. Opodał migał długi szmat gryki kwitnącej, a był biały jak płótno na bléchu, jak śnieg na dachu; a dalej uderzał wzrok zielony kolor rośliny, w kłęby pozwijanej, strojnej tu i owdzie pięknymi kwiateczkami — było groch polny. Tu owies pochylał zielone kiście na bok, to znów jęczmień, dopiero co wykłoszony, prostował swoje długie wąsy.

— A to co za zboże, w którym się gęsi pasą? — zapytała Julcia.

— To ugor, ale nie zboże — odrzekł ojciec — to ziemia nie zasiana; właśnie rolnicy uprawiają ją przez lato, a na zimę zasieją na niej oziminę, t. j. żyto lub pszenicę.

— A cóż te gęsi tam jedzą?

— Trawę, zielsko, co wyrasta na ugorze. Widzisz co tam żółtych kwiatków; to ogniucha tak kwitnie, jest ona przysmakiem dla gęsi.

— Patrzcie — rzekła mama — pokazując gromadkę dzieci wiejskich, siedzących przy drodze pod wierzbą. — Takie małe dzieci, a

już muszą paść gęsi; one i tego konia, co tu spętany gryzie murawę, pilnują, ażeby nie wszedł w zboże.

Już teraz drzewa przy drodze stały coraz gęściej, zboże odgrodzone było płotami; dzieci ujrzały przed sobą niedaleko dachy słomiane, a następnie drewniane niskie chaty, o małych oknach. Jakże im ubogo przedstawiała się ta wioska w porównaniu z Warszawą, z jej pięknymi, wysokimi domami.

Przejechali przez wioskę, nie zatrzymując się. Za wioską minęli opłotki, przejechali około krzyża na prawo i niezadługo wjechali pomiędzy pola, oziminą zasiane; żyto dojrzałe już prawie było i białawe, pszenica jeszcze była zielonawa w słomie, ale kłosa jej nabierały już żółtawo-brązowego koloru.

Dzieci prosiły rodziców, aby mogły zejść i narwać kwiatków na przydrożnej murawie; pragnęły zbierać niezapominajki, rosnące po nad wodą, co stała w rowach wzdłuż gościńca, pragnęły nabierać sobie bławatków, które tak pięknie wyglądały z pomiędzy zboża, ale czasu na to wszystko nie było. Ach, jaka szkoda! Jak pięknie ze zboża, z pośród bławatków, wychylał się od czasu do czasu i dumnie spoglądał na dzieci czerwony mak polny, trzepocąc jaskrawemi płatkami; motyle coś mówiły do niego, ale on nie zważał na to, pobiegły więc dalej i zatrzymały się na skromnych, spokojniejszych, ale ładnych bardzo kwiatkach kąkolu.

— Nie wszystko złoto, co się świeci—rzekł ojciec—te kwiatki są takie ładne, a przecież rolnicy wyrwywają je i precz wyrzucają; rolnicy pielą pszenicę z kąkolu, bo ziarna, które z tych kwiatków powstają są czarne, zanieczyszczają zboże i mąkę, a oddzielić ich od zboża trudno, bo się ani wywiać ani wysiać nie dają.

— Ach, czemu ci ludzie depcą zboże—zawołały dzieci, spostrzegłszy zdaleka kilka głów ludzkich, wychylających się ponad falujące żyto.

— Ależ oni idą miedzą pomiędzy żywami.

I rzeczywiście, niezadługo dzieci spostrzegły pas murawy, stanowiący granicę pomiędzy jednym łanem żyta a drugim. To była

miedza i tą miedzą szli właśnie ludzie w pole pod górę.

Cieszyli się rodzice, widząc, że dzieci tak uważają na wszystko i tak się bardzo wszystkiem zajmują. Julcia przypomniała Zosi wiersze, których się niedawno uczyła, wzdychając:

„...Do tych pól, malowanych zbożem roz-  
[maitém,  
„Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych ży-  
[tem...  
„A wszystko przepasane, jakby wstęgą,  
[miedzą  
„Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze sie-  
[dzą.“

Posuwała się wartko bryka po bitym gościńcu, woźnica pokrzykiwał i biczem poświstywał. Wznosiły się tumany kurzu za jadącymi, posuwały się jasne obłoki po niebios sklepie, sunęły się rzędem poza jadących topole i wierzy i lipy i kasztany przydrożne, przesuwaly się i słupy telegraficzne i słupy wiorstowe i drogowskazy; przesuwaly się zboża falujące, jakby w pokłonach naszym podróżnym, sunęły się tu i owdzie motyle barwne i ptaszki świegocące. Wiatr zaszumiał przeciągle w gałęziach topoli. I falowało wszystko i pędziło coraz dalej i dalej, a najszybciej pędziła myśl dzieci na skrzydłach młodzieńczej wyobraźni. Kto myśl ludzką zatrzyma? Niedościęgniona jest w biegu; im więcej nowych obrazów spostrzeżę, tem do śmielszych zrywa się lotów, pragnie nowych i coraz nowych, pragnie cudniejszych i coraz cudniejszych widoków!

(d. c. n.)

## Obrazki Geograficzne.

(Ciąg dalszy).

Byzancium, dziś Konstantynopol, za czasów greckich należało czas jakiś to do Sparty to do Aten, w końcu stało się niepodległym morskim miastem i wielkie miało zawsze znaczenie z powodu szczęśliwego swego położenia, ale szczególnie za czasów rzymskich stało się potężnym i sławnym. Jak nie-

sie dawne podanie, wyrocznia Delfijska wyznaczyła miejsce, gdzie je pobudować mia-no, przepowiadając mu bardzo świetne losy. Wszyscy podróżni zgadzają się na to, że ma-ło jest na całej ziemi miejsce tak uroczych, przedstawiających tak wspaniałe widoki, jak ta ciasnina Bosforu, zamknięta z obu stron wyniosłemi brzegami dwóch lądów, Europy i Azji. Jak wąwóz głęboki pomiędzy górami, tak ten pas wody słonej wiję się w zakrętach, rozszerza się, to znów zwęża, wciska się po bokach w szczeliny skał, tworząc drobne zatoki. Gdy żeglarz z burzliwego morza Czarnego wpłynie na wody Bosforu, uderza go nagła zmiana. Tam wichry huczały, fale gwałtownie rozbijały się o skały piętrzące się ponuro, naksztalt murów, po obu stronach ciasniny; tu po przekroczeniu tej bramy panuje cisza; spokojnym prądem płyną nurty podmywające wybrzeża. Z obu stron cudne się roztaczają widoki, piękność przyrody łączy się z pięknnością sztuki; ustawicznie migają przed oczyma to malownicze kształty skał, to znów marmurowe pałace przeglądające się w wód przezroczu; rozkoszne gaje pokrywają stoki pagórków, ty-siące ptasząt je ożywia, na dachach gruchają gołębie, ponad wodą przelatują chyże jaskółki, bociany stoją zadumane na jednej nodze na wybrzeżu, a czasem na szczycie wieżyczki lub minaretu. Turcy nie czynią ptactwu żadnej krzywdy, ono też śmieliej się gromadzi w pobliżu ich mieszkań nad Bosforem, niż w innych miastach europejskich. W jednym miejscu, tam gdzie ciasnina najwięcej się zwęża, na przeciwległych wzgórzach stoją, jakby na straży, dwa piękne zamczki obronne. Tu niegdyś Daryusz, król perski, kazał pobudować most, przez który wojsko swoje przeprowadził. Tu może znowu w niedalekiej przyszłości stanie most trwalszy i silniejszy, po którym ma przejść kolej żelazna, łącząca Europę z Azją. Gdzie-niegdzie brzegi się zniżają i tam widnokrąg się rozszerza, odkrywa się wspaniała panorama ogrodów, bieleją w dali ozdobne budynki, bo wszyscy bogatsi Turcy Konstantynopola mają tu swoje wiejskie mieszkania, z wielkim przepychem urządzone. Nakoniec ciasnina skręca nagle w bok i żwawszym

prądem, głęboką zatoką podpływa w ląd, a na wyniosłym przylądku, na siedmiu wzgórzach, rozkłada się w całej okazałości dumna wschodnia stolica, Konstantynopol. Zatoka ta przezwana jest rogiem złotym, a widok, który na jej wybrzeżu się roztacza przed oczyma żeglarzy, ma być prawdziwie czarujący. Białe marmury gmachów wspaniałe odbijają na tle zielonych gajów i zarośli; wśród kopuł meczetów, ozdobnie zaokrąglonych, strzelają w górę wysmukłe minarety; lekkie balkony, jakby z koronek utkane, zdają się kołysać w powietrzu za wiatru podmuchem. A ponad wszystkiem panują przepyszne zabudowania seraju, pałacu sułtańskiego, w głębi zatoki rozłożone jakby osobne miasto. Na odnodze ruch ustawiczny; zgrabne łodzie, kaikami zwane, uwijają się we wszystkich kierunkach, poważnie przesu-wają się większe statki, las masztów skupionych w porcie powiewa różno-barwnemi chorągwiemi. W oddali, po drugiej stronie ciasniny, ukazuje się miasto Skutari, także na wyniosłym przylądku, w zielonym wieńcu gajów i ogrodów.

Konstantynopol, tak czarujący z daleka, traci podobno bardzo na bliższym poznaniu; miasto jest bowiem nieporządnie utrzymane, pełne śmieci i brudów, a człowiek cywilizowany, chcąc tam mieć jaki taki nocleg i przytułek, musi się chronić na przedmieście Pera, gdzie mają swoje mieszkania wszyscy posłowie europejskich dworów, gdzie też znajdują się i hotele na sposób europejski urządzone. Nie będziemy tu mówić szczegółowo o stolicy tureckiej; w obrazkach tych mamy głównie na celu opisy przyrody. Wspomnimy tylko, że w Konstantynopolu najciekawszy dla cudzoziemców jest widok bazarów, gdzie są nagromadzone najrozmaitsze bogactwa wschodnie, prawie pod gołym niebem porozkładane. Lecz bardziej jeszcze zajmuje mieszkańców północy tłum różno-barwny, który się tam uwija nieustannie. Do Konstantynopola napływają bowiem kupcy z trzech lądów, wiodąc za sobą gromadki niewolników, gdyż niecny ten handel ludźmi, jakkolwiek wzbронiony w Turcyi, zawsze się tam odbywa pokryjому. Na tych bazarach można się przypatrzeć rozlicznym rasom lu-

dzkim; tam na pograniczu Europy schodzą się mieszkańcy Azji z mieszkańcami Afryki; można tu spotkać twarze najrozmaitszej barwy, czarne, oliwkowe, żółte, białe, i niemniej rozmaite stroje. I stała ludność Konstantynopola jest bardzo pomieszana. Mieszkańcy z całego półwyspu Bałkańskiego osiedlają się w stolicy dla handlu; przybysze z innych krajów europejskich zajęli znów całe przedmieście Pera, i urządzili się tam po swojemu, tworząc jakby osobne miasto.

Po drugiej stronie morza Marmara łąd wydłuża się najpierw wązkim przesmykiem, potem szerszym nieco półwyspem, zwanym Chersonезem Trackim; ztąd powstaje cieśnina Dardanelaska, w dawniej historii wstawiona pod nazwą Hellespontu. Tu leży na wybrzeżu, ku Azji zwróconem, miasto Gallipoli, gdzie Turcy wylądowali po raz pierwszy na ziemię europejską, przeszło na sto lat przedtęm, zanim zatknęli zwyciężką chorągiew Mahometa nad brzegami Bosforu.

Na zachód od Konstantynopola, w dawniej Tracyi, rozciąga się wielka płaszczyna tak jednostajna, że przypomina pustynię, a co najmniej stepy, zwłaszcza wśród lata, gdy wiatry unoszą w powietrzu chmury kurzu. Okolica ta jest prawie bezludna, grunt ma nieurodzajny, miejscami bagnisty, zasiany wszędy mnóstwem mogił, które zapewne z czasów niezmiernie dawnych pochodzą, gdyż nikt nie umie na pewno znaczenia ich wyjaśnić. Musiały to być groby, lub jakieś religijne pomniki ludów starożytnych, które jeszcze przed Grekami zamieszkiwały tę ziemię.

Na północnym krańcu tej płaszczyny leży miasto Adryanopol i tu odrazu krajobraz całkowicie się zmienia. Widok lesistej okolicy mile wzrok uderza po jednostajności rozległych obszarów, pozbawionych drzew. Trzy rzeki, Marica, Tudża i Arda, zbiegają się pod samym Adryanopolem. Miasto wygląda z daleka jakby gromadka pięknych wiosek, rozłożonych dokoła warowni, której rozległe zabudowania sterczą groźnie po samym środku. Gdzie okiem zajrzeć, wszędy pełno zieloności; ozdobne gmachy, białe mury pałaców i meczetów wynurzają się z głębi cieniowych zarośli, a liczne strumienie ożywiają

wszystkie dzielnice miasta. Turcy założyli tu byli swoją stolicę jeszcze przed zdobyciem Konstantynopola. Na tęm samęm miejscu stała tęż niegdyś stolica starożytnęj Tracyi, Orestyas.

Dałęj na zachód, za rzekę Maricę, grunt znowu się podnosić zaczyna; ku południowi ciągnie się pasmo gór Rhodope, które na wybrzeżach morza Egejskiego przybierają nazwę Pilaw-Tepe. W górach tych żyją dziś napół dzikie plemiona koczujących pasterzy. Niegdyś okolica ta słęnęła z obfitych kopalń złota; panowali tu wóczas sławni i dzielni monarchowie; Filip Macedoński, Aleksander Wielki, zostawili po sobie niespożyte wspomnienie. W starożytności istniało podanie, że tam, gdzie wyskakuje wysoki szczyt Pangeus, dziś Pirnari zwany, naprzeciw wyspy Thasos, złoto w wnętrnościach ziemi odrastało ciągle, tak jak trawa ścięta odrasta na łące. Obecnie jednak wyczerpały się żyły szacownego metalu.

To pasmo gór, niegdyś złotodajnych, odgranicza od wschodu rozległą i piękną kotlinę, przerzniętą licznymi strumieniami, które zasilają główną rzekę Strymon, czyli Kara-Su. Po samym środku kotliny, w przeszlicznej okolicy leży bogate miasto Seres, a dokoła rozsypane są liczne wioski, pola uprawne, sady i winnice. Na nieszczęście, niektóre bagniste niziny mają klimat niezdrowy. Plaga ta dotkliwie się czuć daje na całym wybrzeżu północnem morza Egejskiego, wszędy tu bowiem napotykają się bagna, które zatruwają powietrze zgnięmi wyziewami. Najwięcej na tęm cierpi Salonika, jedno z najznacniejszych i najbogatszych miast portowych w całej Turcyi, które położeniem swoim, podobnie jak Marsylia i Tryest, stanowi ważną stację handlową, to jest dogodne bardzo miejsce wypoczynku dla statków kupieckich, dążących na Wschód, do Indyi, przez kanał Suezki. Miasto to, dawniej zwane Therma, później Tessalonika, było stolicą Macedonii za czasów rzymskich.

Głęboka odnoga Salonicka oblewa zachodnie brzegi małego półwyspu chalcydyjskiego, który słabo tylko połączony jest z łądem pasem jezior i bagnistych nizin; przypuszczają nawet uczeni, że mógł on być niegdyś

zupełnie oddzielną wyspą i zrosł się niejako z lądem, gdy wążka ciałnina zamuloną została. Chalecya, zakończona trzema wydłużonemi, wązkami przylądkami, wygląda jakby jakaś ręka olbrzymia rozciągnięta nad wodą. Na pierwszy rzut oka możnaby w niej upatrzeć zmniejszony obraz Grecyi, tak jest na wszystkie strony powycinana w głębokie zatoki i wystające cypłe. Wschodni przylądek, Hagion Oros, czyli góra święta, wążutkim tylko paskiem przytyka do lądu; niegdyś w tém miejscu był kanał przekopany przez Kserksesa, króla perskiego. Na samym końcu wysuniętego w morze przylądka góra Athos, potężna masa skał wapiennych, bieleje z daleka na szafirowém tle nieba, rąwpół przysłonięta ciemnym płaszczem lasów sosnowych i dębowych. Ponad wierzchołkami drzew strzelają w górę wieże i strzelnice licznych klasztorów, obwarowanych jak fortece. Cały ten przylądek nie ma innéj ludności, oprócz mnichów wschodniego obrządku, zamieszkujących te klasztory i niezliczone mniejsze pustelnie, rozsiane na pochyłościach góry Athos.

Teraz puśmy się dalej na zachód, a okrążając odnogę Salonicką, zwróćmy się ku południowi. Po drodze napotykamy ujście dwóch wielkich rzek, bardzo do siebie zbliżone, chociaż pierwsza, Wardar, przybywa od północy, druga, Bistrica, od zachodu. Tu grunt nizki, w wielu miejscach bagnisty, podnosi się stopniowo i wnet nad samym brzegiem morza piętrzy się potężny łańcuch gór; coraz wynioslejsze grzbiety wybiegają pod obłoki, aż wreszcie występuje w całym swym majestacie wspaniały Olimp, najwyższy z greckich szczytów, Olimp, gdzie starożytni mieścili poczet swoich bogów i bogiń, gdzie, jak baśń powiada, Tytani usiłovali się wdrzeć, ustawiając dwie wielkie góry jedną na drugiej. Owe góry, dawniej zwane Ossa i Pelion, a dziś Kissowo i Zagora, rzeczywiście nie o wieleby Olimp przewyższyły, gdyby je można było ustawić w ten sposób, chociaż także dość okazałe wyglądają. Są to trzy najwyższe wierzchołki wielkiego pasma gór, które zalega całe wybrzeże Tessalii i kończy się przylądkiem Magnezyi, daleko w morze wysuniętym i zakrzywionym dziwa-

cznie nakształt haka. Ta wschodnia część Tessalii, według wyrażenia pieśni ludowej, „jest to twierdza olbrzymia: czterdzieści dwa szczyty, jak baszty ją wieńczą, pięćdziesiąt dwa strumieni tryska w jej obrębie.“ W górach tych przebywały do niedawna liczne szajki opryszków, które nieraz opierały się oddziałom wojska w niedostępnych swych kryjówkach, a w czasie walki Greków o niepodległość przyłączyły się do nich i wówczas wielu z tych rabusiów, ożywionych miłością ojczyzny, zamieniło się w dzielnych żołnierzy i prawdziwych bohaterów. Ten potężny łańcuch gór rozłożony szeroko na wybrzeżu, za dawnych czasów zapewniał bezpieczeństwo Tessalii, powstrzymując najsmielszych napaśników od strony morza. Stoki tych gór pokryte są dotąd jeszcze wspaniałemi lasami; na nieszczęście jakaś kompania spekulantów rozpoczęła już i tam dzieło zniszczenia, a piękne wawrzyny, platany, kasztany i dęby padają ciągle pod nielitościwym toporem; niezadługo może szczątki z nich tylko pozostaną i lesiste góry olimpijskie zamienią się w ogołoconą, skalistą pustynię, tak jak wiele innych okolic w Grecyi.

Tessalia opasana jest znów od południa pasmem gór Othrys. Sławne pole Farsali, gdzie Cezar stoczył bój zwycięzki z Pompeuszem, niedarmo uważane było za ważny punkt strategiczny; miejsce to bowiem broni przystępu do wąwozów, które przerzynając góry prowadzą w głąb kraju na południe.

W środkowej części Tessalii ciągną się rozległe równiny aż do podnóża Pindu. Ślady wodnych osadów, znajduwane wszędzie w nizinach, świadczą, że cała ta przestrzeń pokryta była niegdyś wielkimi zbiornikami wód, z których obecnie pozostały tylko dwa większe jeziora, Karlas i Bebeis, zbliżone do odnogi Volo, także zewsząd lądem opasanej nakształt jeziora. Mitologiczne podanie opiewa, że bożek Neptun, a według innéj wersyi Herkules, rozerwał łańcuch gór pomiędzy Olimpem i Ossą i przez to ujście przeprowadził nadmiar wód do morza korytem rzeki Peneus. Ten przełom mógł się jednak utworzyć i bez pomocy bożków, w skutek powolnego lecz nieustannego kruszenia się skał. Tym to sposobem zapewne

powstała w tém miejscu w czasach niezmiernie dawnych rozkoszna dolina Tempe, sławiona przez starożytnych Greków, jakby raj jakiś ziemski i wciąż zabobonną otaczana. Gdy w Delfach miały się odbywać igrzyska pityskie, które powtarzały się co lat kilka, tak jak w Olimpii, solenne poselstwo udawało się do doliny Tempe i tam zbierano wawrzyny, mające wieńczyć skronie zwycięzców.

Podróźni jednak utrzymują, że górzysta Tessalia posiada okolice piękniejsze jeszcze od téj doliny, którą nowożytni Grecy przewalali dość właściwie Lykostomo, czyli paszcza wilcza. Jest to bowiem wąwóz ścieśniony pomiędzy wysokimi, dzikimi skałami; niektóre miejsca, gdzie nigdy nie zajrzy jaśniejszy promień słońca, wyglądają prawie ponuro, ale wspaniała, bystra rzeka Salambria, dawny Peneus, dziwnie podnosi urok krajobrazu; rozłożyste platany, gęste zarośla oleandrów stroją jęj wybrzeża i zielonemi splotami gałęzi osłaniają ciemne szczeliny skał czerwonych. (d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

**Przywiązanie psa.** Młody majtek angielski, powracając do swojej ojczyzny po kilkoletnim pobycie w Ameryce, chciał zabrać z sobą pięknego psa Neufunlandzkiego, który był jedynym przyjacielem jego na obcej ziemi. Lecz kapitan okrętu za nic się na to zgodzić nie chciał, i majtek z wielkim smutkiem musiał się poddać jego woli; ale ponieważ do ostatniej chwili miał nadzieję zmiękczyć serce kapitana, więc zabrał z sobą pocziwe zwierzę do portu i pozostawił je na brzegu, wsiadając do łodzi. Pies zrazu niespokojnie spoglądał za nim, nie ruszając się z miejsca, jakby niedowierzał, że pan jego ukochany mógł go naprawdę opuścić; dopiero gdy łódź przybiła do okrętu, gdy młodzieniec zniknął mu z oczu, a statek rozwinąwszy żagle szybko oddalać się zaczął, nie wiele myśląc, wskoczył w wodę i puścił się za nim w pływ. Psy Neufunlandzkie doskonale pływają, nie mogą jednak żyć w wodzie i w końcu zawsze im musi sił zabraknąć. Biedny majtek na-

próżno błagał, zaklinał kapitana, napróżno też cała osada okrętowa zanosila doń prośby, nielitościwy ten człowiek trwał ciągle w swoim uporze. Straszna męczarnia pocziwego zwierzęcia trwała przez trzy dni; majtkowie podtrzymywali życie jego, podając mu trochę jedzenia pokryjomu, ale w końcu siły biednego psa wyczerpały się zupełnie, położył się więc na falach i bezwładnie dał się unosić prądowi wody. Wówczas dopiero litość ozwała się w sercu kapitana i pozwolił nakonieć zabrać nawpół żywe zwierzę na pokład. Nie potrzebujemy nawet opisywać, jakimi staraniami otoczono pocziwca, każdy się tego domysli. Nietylko pan jego, ale wszyscy majtkowie i pasażerowie pielęgowali go na wyścigi; przyszedł wreszcie do siebie, chociaż osłabienie trwało bardzo długo.

Okręt zbliżał się już do brzegów Anglii, gdy niespodzianie straszna go zaskoczyła burza; było to na nieszczęście w takim miejscu, gdzie ostre skały podwodne, uderzając o dno okrętu, przedziurawiły je, woda gwałtownie wtargnęła do środka i nie było żadnego ratunku. Wszyscy zginęli, oprócz jednego młodego majtka. Wierny pies uratował swojego pana. Nieprzytomnego, lecz żyjącego jeszcze, doniósł go na brzeg i złożonywszy ostrożnie na ziemi zaczął czekać i nawoływać, gdyż okolica była pusta, nigdzie nie widać było ludzi. Nadbiegło wreszcie kilku rybaków i zaczęli ratować omdlałego. Pies niespokojnie śledził wszystkie ich poruszenia, jakby nie był pewny, czy im zaufać może, lecz gdy młodzieniec otworzył oczy, pocziwe zwierzę zaczęło skomleć radośnie, liżąc ręce rybaków i widocznie usiłując okazać im swoją wdzięczność; potem dopiero znużone, wysilone, położyło się u nóg ukochanego swego pana i leżało tak nieruchome, nie spuszczać z niego oczu ani na chwilę. Szkoda wielka, że nie mogliśmy się dowiedzieć o nazwisku tego pocziwego pieska; a należy mu się w pamięci naszych czytelników zaszczytne miejsce obok owego sławnego psa z góry Ś-go Bernarda, o którym opowiadaliśmy niedawno. Dodamy więc tylko, że zdarzenie to jest prawdziwe; wyczytaliśmy je niedawno w bardzo poważnym dzienniku angielskim.

## Zadanie konikowe. (L. R.)

		sio	pie	mu			
	lo	dzi	mi	zdi	pil	te	
		mu	wy	stwo	szy	się	le
kar	lzy	młod	wil	a	kar	zdi	skrzy
	piej	od	dział	szek	wil	pij	kie
ma	stwo	dziec	le	po	dy	ei	slaw
wi		wie	zby	zlem	ku	a	się
	my	niż		my	bra	zle	
		wa		go			

## Łamigłówka w kwadraciku. (Mańcia B.)

W kwadraciku złożonym z 16 podziałek ułożyć: 6 A—2 G—2 K—1 Ó—2 R—1 S 2 T—ażeby odczytać w poziomym i pionowym kierunku: 1) Nazwę kamienia, 2) Wyniosłość gruntu, 3) Napój, 4) Gatunek psa.

## Łamigłówka gwiazdka. (Ryszard J.)

Ułożyć w kształcie gwiazdki cztery wyrazy pięciogłoskowe, z literą środkową *l*, oznaczające: 1) Owoc, 2) Zwierzę, 3) Monetę, 4) Mędrca.

```

      *
    *   *   *
  * * L * *
    * * *
  *       *
      *
  
```

## Łamigłówka zgłoskowa. (Wincenty S.)

Z 19 zgłosek następujących: an bis—cha—czyc—czo—ha—i—ja—ko—ko—ła—no—rak—ro—ra—slaw—sa—wski—ziol—ułożyć ośm wyrazów oznaczających: 1) Poe-

tę, 2) Zwierzątko niewielkie, 3) Pisarza, 4) Pustynię, 5) Imię, 6) Część głowy, 7) Zwierzę, 8) Ptaka. Początkowe litery, od góry do dołu odczytane, utworzą nazwisko poety polskiego a końcowe od dołu do góry, nazwisko innego poety polskiego.

## Rozwiązania do Nru 25.

Łamigłówki głoskowej: Gopło.

Łamigłówki kryształowej.

A  
O S T  
A S N Y K  
R Y Ś  
K

Zagadki: Półka.

## Odpowiedzi od Redakcyi.

Stefankowi ... Kop. 15 dla Szlązaków otrzymaliśmy. Baronowej Stack... w Lillienbach. Zlecenie załatwione. Przesyłka wysłana będzie w przyszłym tygodniu. Pozdrowienie załączamy.

P. E. P. Nadesłane kop. 90 dla Sandomierzan otrzymaliśmy i wysłaliśmy bezzwłocznie do komitetu.

Mańci, Zosi i Zolce w Warm... Przesyłamy serdeczne pozdrowienia, oczekując z niecierpliwością pomyślnych wiadomości.

PAN WŁ. NOWICKI ustępuje Redakcyi *Wieczorów Rodzinnych* na wszystkich swoich wydawnictwach rabat księgarski, którego zrzekamy się na korzyść naszych prenumeratorów; jesteśmy przeto w możności odstępować im po cenie niższej od katalogowej następujące książki:

Szlachetna Zabawa Serya 1, cena katalog. 70 zniż. 60.	—	—	75	—	65.
Szlachetna Zabawa Serya 2, — — — — —	—	—	65	—	55.
„ „ bez oprawy — — — — —	—	—	50	—	40.
Początki Języka . . . . .	—	—	25	—	20
Jak uczyć początków języka — — — — —	—	—	25	—	20

Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Юля 1880 года.—Redaktorka i Wydawczyni **Ludwika Hauke**.